ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Stycznia **N^{er} 1.** **Roku 1854.**

Skowronek Wychodźcy.

Nie jednemu się serce krajało, kiedy z zaścienia rodzinnéj ziemi spojźrzał po raz ostatni na błonia ojczyste, na pole rozrywek i nadziei młodzieńczych; — wywołaniec z łona, gdzie stał całem plemieniem, połowę świata za sobą grzebie. Wszak śmierć nic innego, jedno rozłączenie; więc też i rozłączenie w podróż zamorską, to szczera śmierć dla duszy. Tak-to się snuło po myślach Pattersonowi, gdy z żoną wsiadał na okręt, wychodząc do Quebeck.

Ubogiemu szewcowi w bogatym Londynie nic się nie wiodło, roboty nie było, a dochodów na gospodarstwo, chociaż na małe, nie wystarczało, — człowiek sam siebie zjadał. Pisał się wtedy rok 1834. Elżbieto! — mówi mąż — poszłabyś ze mną za morze? sprobójmy, może w Kanadzie lepiéj.

Elżbieta spojźrzała mężowi w oko, a usta rzekły: Henry! gdzie ty i ja z tobą przy boskiéj pomocy.

Więc się posprzedawało co było w domu, a co zebrali, stało na podróż. Biednemu w świat łatwa wędrówka, ale i ze świata nie trudna. Dłoni mu rzesza nie ściska, lecz jeźli kto żegna, to pewnie z duszy.

Przecież i szewc śród miliona tłumu w Londynie miał przyjaciela, dusza poczciwa, zamożniejszy nieco od niego, a nazywał się Charles Nash, ptasznik z nad Tamizy znany wszystkim co się w ornitologii kochali.

Nash mówi do siebie: Ha! kiedy już koniecznie jechać Henremu, a ja z nim nie mogę, niechże przynajmniéj ma coś odemnie, czego w tamtych stronach nie znajdzie, albo coś, co mnie samemu jest najmilszego. Dam mu skowronka, jakiego świat nie ma.

Opatrzył po klatkach — nie było; więc daléj na pola szukać i szukać, aż znalazł czego szukał, i szczęśliwy wraca, spieszy do przyjaciela, — ale już w chatce i miejsce zastygło gdzie szewc siadywał, dawno z żoną w okręcie na pełnem morzu. Więc Nash dopada podwodny paropływ i w pogoń, dobija okrętu pod Grevesendem.

Patterson z Elżbietą stali na pokładzie, obok nich różni a różni wychodźcy, mężczyźni i kobiéty, dziatwa i dziady; dzieci, którym czasu jeszcze nie było przypatrzyć się słońcu gdzie się rodzili, ani ojczystem przepoić powietrzem; starce, którym już czasu nie będzie przypatrzyć

się słońcu na tamtéj półkuli, ani zamorskim nadychać powietrzem; zresztą w około twarze jedne z nadzieją drugie z rozpaczą.

Henry z żoną patrzali po raz ostatni na te wybrzeża, co gasły z przed oka, na zielone przylądki, na powiewne gaje, jak niemi wały morskie niby wstrząsać się zdawały. „Ach! luby kraju, życiem byłeś ty mojem, a na tobie ni piędzi ziemi, zkądby mię nie spędzono! Tyś nam ojcowizną, a musiemy za morza i lądy szukać bryłkę grudy, gdzieby głowę położyć. Wola Boża! wszak pan Bóg wszędzie, a ziemia jest jego!“

W téj chwili przybił statek parowy, na którym był i Nash z gościńcem. „Henry! — woła, i po konopnéj drabince spina się na okręt — Henry! masz tu ptaszynę, śpiewak doskonały, nie straci głosu i za morzami.“ Patterson spuszcza się wpół drabinki do Nasha, wyciągnął rękę po skowronka, a dwie krople łez stoczyły się po twarzy.

Długo jeszcze Elżbieta, i póki widać było, żegnała powiewem chustki statek, który odwoził Nasha, jedyną im w pamięci życzliwą duszę, aż wreszcie i statek we mgłach spłynął jak szary proszek z przed oczu. I spojźrzeli na ptaszynę: „Niech się nazywa Karol — rzekł Patterson — jak ten Karol, co tam odpłynął.“

I wiozą ptaszynę po puszczy wodnéj jak skarb najdroższy, bo otuchę wspomnieniom goryczy, ptaszynę zorzy zarannéj, ucho przyszłości, co trelami w pod niebo śpiewa pobudkę wiosny. Niegdyś w eterach skowronek zwiastował sercu nadzieję lata, dziś w łodzi wróżył mu nadzieję szczęścia.

Ale jak w sercu tak i na morzu, nie zawsze pokój i cisza. Nastała burza, okręt rozbija się w zatoce ś. Wawrzyńca. Ratuj kto może brzemiona tyla radości, tyla nędzy, tyla nadziei w okręcie. Patterson przy łasce Boga wypłynął na ląd z żoną i ptaszyną, żonę sam uniosł w ramionach, ptaszynę żona w puszeczce — samotna trójka na cudzéj ziemi, z reszty nic im nie ocalało.

W samotrzeć więc nadzy przybyli do Torronto; lecz przy pracy i oszczędności wkrótce uzbierało się tyle, że w zakątku ulicy królewskiéj szewc mógł budę otworzyć, wprawdzie nie wielką, ale że w dobrém miejscu, więc stręczyła się sama w potrzebie. Wychodziła na południe, szewc zabił goźdź przed oknyma z nadworu, i skromną wywiesił drucianą klateczkę z daszkiem dębowym. Codzień wstawiał bryłkę ziemi porosłéj trawką i świéżą gałązeczkę z drzewa; a skowronek choć w szczupłym zagrodku, cieszył się swobodą, trzepotał z bryłki na gałąź, z gałązki na trawkę, i tak szło godzinami; potem dzióbkiem w korytko zapukał, podwilżył oschłą krtankę i znowu na gałązkę, mierząc oczko przez szczeble ku słońcu. I jego snać tęschnica przejmowała, żywot zapragnął lotnéj swobódki, może i pamięć wróciła jak kiedyś bujał w powietrzach, jak w światłościach rannego słońca się kąpał, i wyciągnął szyjkę, główkę przechylił i lekko lekko wstrząsł skrzydełkami, potem zanucił piosnki, któremi niegdyś wdzięki dnia witał, i śpiewał wiosnę, bo ją poznawał,

chociaż ożyła na tamtéj półkuli świata nie w jego porę. Luby chórzysta powietrzny wiośnie wyścielał łoże melodyami, o jakich ani słychu w lasach Kanady, bo śpiewnych ptasząt tam nie ma. Amerykańskie ptactwo strojne w pióra, pyszne i ozdobne w barwy jak eleganci nasi, zato jest albo nieme, albo tylko bełkoce. Ameryce jak gdyby się słabo robiło, kiedy chce śpiewać.

I skowronkowi w Ameryce robiło się słabo, a dlatego śpiewał; lecz zato wszyscy wychodźcy zbierali się przy nim i słuchali go z żałością; jego świerkot powietrzny wskrzeszał przymrzałą pamięć, jego śpiewek przypominał chatkę rodzinną, i drzewka po gajach, i kwiatuszki na błoniach, i przygody młodzieńcze. Nie raz też Elżbieta z Henrym błogosławili skowronka, on im jedyną bywał pociechą, przytém i skarbem jedynym, bo co było w Torronto, stary czy młody, bogaty czy to ubogi, wszystko się cisnęło do budy szewca, ażeby posłuchać śpiewaka. Panowie i panie, konno i w powozach stawali, a o innych już ani mówić, słuchali jak wryci, choćby im i dłużnik uciekał i sprawa nagliła. Ptaszyna nie wiedząc, rozgłaszała imię szewca, każdy u niego bóty łatał. Upominek kmotra Nasha stał się błogosławieństwem dla nich, ale bo też i prawda, że kiedy ubogi daje, to zawsze stokrotnie, bo daje od serca, a dar ubogiego jest uwidomioną modlitwą i dlatego błogosławieństwem.

Sam nawet Sir Fr. Head, gubernator, razu jednego przyjechał i stanął za tłumem, słuchał i dziwił się jak wszyscy, a byli tacy, co złotem szewca-by obsypali, byli im dał skowronka. Trzykroć się napierali, i trzykroć Patterson westchnął a złoto odsunął: „ten skowronek to nasze dziécię, to krew nasza, tyle po nim z ojczyzny;“ a żona dodała: „kto upominek ze szczerych rąk dany uroni, wyrzeka się błogosławieństwa“ — i ptaszyna została.

Aż raz — w Październiku to było roku 1837 — patrzą ludzie, buda szewca zamknięta o niezwyczajnéj porze. Co to? czy szewc jaki poniedziałek święci? — Oh! święciła mu się godzina! leżał złożony na łożu we krwi. Nieostrożny sąsiad myśliwy raził go przypadkiem śmiertelnie, i biédny wychodźca wracał tam, zkąd my wszyscy rodem. Ranny śpiew skowronka był dlań wieczorną modlitwą życia.

Dla Elżbiety zawiązał się teraz świat cały; ona z Pattersonem za morze wyszła, a on ją opuścił! Chwilami zdawało jéj się, że do Europy ujechał, i że go w Londynie gdzieśby znalazła, chociażby i w okopconéj budzie dawnéj ale tyle szczęśliwéj, kiedy z nim przebywała. Z tém wszystkiem ciało pogrzebła, a chcąc pamiątką uczcić, ściągnęła się na grosz ostatni, i została bez sposobu. Przyszło do tego, że, by nie zginąć z ptaszyną, musiała się z ptaszyną rozłączyć. Sama więc, samiuteńka została, i samotność dobiła — poszła za Henrym wkrótce.

Skowronka kupił u Elżbiety Sir Fr. Heade, chował go trzy miesiące, ale skowronek ani pisnął. Czy on w żałobie, czy się zrepublikanił, że u mnie śpiewać nie chce? żartował gubernator.

Wkrótce też odwołany z Kanady, darował Sir Heade skowronka tego staremu słudze u siebie, który po prawdzie mało co był bogatszym od Pattersona. A skowronek jak gdyby powołany pocieszać tylko ubogich i czułych, ledwo się ujźrzał w skromnéj izdebce u ludzi pobożnych i w klatce na haczku przy oknie, zaczął i śpiewać.

Cały świat w Torronto o niczém nie gadał, tylko o tym skowronku, tak głosek jego zajmował; i trwało to za rządu dwóch jeszcze po panu Heade gubernatorów. Ale nakoniec i jemu wybiła godzina, śpiewne życie zgasło.

Ostatni posiadacz Orris przesłał zwłoki pierzaste z łapkami i dzióbkiem panu Fr. Heade do Anglii, a pan Heade kazał je wypchać jak najokazaléj, że się zdawało, iż biédny skowronek zmartwychwstał, bo też jeszcze raz przejechał ocean z całéj trójki sam jeden. Stoi teraz w gabinecie między swoimi, szyjka wysunięta, oczko pełne ognia, skrzydełka rozwarte w postawie, jak stał przed ludem w Torronto, a przy klatce na kawałku papieru własnoręcznie dopisał gubernator:

„Ten skowronek wypłynął z pewnym wychodźcą do Kanady; w zatoce ś. Wawrzyńca uległ rozbiciu; talentem swoim dziewięć lat był rozkoszą miasta Torronto, i zgasł w tém mieście 14. Marca 1843 powszechnie opłakiwany.“

Oby sława jego i nam była pociechą!

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda,

przełożył p. N. H.

OSOBY:

Kasper Horst, dozorca strażnicy.
Dorota, jego córka.
Ulrych Horst, starszy brat jego, cierpiący pomieszanie zmysłów.
Hrabia Holm.
Walter, jego wychowanek.

Akt I.

(Teatr przedstawia pokój mały w wyższéj części strażnicy, na powale w środku otwór, przez który późniéj daje się widzieć światło lamp zapalonych. W pokoju harfa i tuba.)

Scena 1.

Kasper, **Dorota** *(zatrudniona robotą kobiécą).*

Kasper *(patrząc przez okno).*

Na niebiosach czarne chmury,
A o skały fala dzwoni;
A morze z bałwanów góry,
Jak w objęcie wiatrom goni.

Dorota.

Czy sądzisz, że burza będzie?
Wszakże zwykle z przyjściem nocy,
Wiatr słabnieje, w swym zapędzie.

Kasper.

Zwykle, lecz dziś ze swéj mocy
Nic nie straci; moje dziécię
Przy zachodzie na błękicie
Zajęły chmury siedliska —
Gdy się czoło w zmarszczki kryje,
Zwykle już wybuchu bliska
Burza, która w piersiach żyje;

(pokazuje na morze)

Tam straszna burza nadchodzi,
Kracząc, wielką kupą leci
Stado rybitw, na ląd stały,
A wschód słońca gdy zaświéci,

Wskaże szczątki, które wały
Wyrzucą na ląd z powodzi.

Dorota.

O nieszczęśni wy żeglarze!
Któż swoje domy buduje
Na tego państwa obszarze,
Co tak bezprawnie panuje!

Kasper.

Nie bezprawnie — chociaż burza,
Aż się w wnętrzach morza nurza;
Chociaż piorun po piorunie,
Z trzaskiem, z blaskiem w ziemie runie,
I niszczy ludzkie nadzieje,
Nic się bezprawnie nie dzieje.
U podnóża wszech natury,
Żywioły zebrane stoją,
I tylko na rozkaz z góry
Idą za robotą swoją.
Ich działalność wykonania,
Często człowiek im przygania,
Bo to jego próżnéj dumie,
Nie raz zgubę przynieść umie;
A bezprawnie w piersi człeka
Stokroć sroższe dary piekła,
Zamieszkały od wiek wieka;
Chciwości poczwara wściekła,
Samolubstwa zmarzłe lody,
Jadowity wąż zazdrości,
Walczą na ziemi w zawody,
Z tém tu sercem co z nicości.

Dorota.

Czyliż każde serce prawie
Gwałtowną burzą zapłonie;
Gdy spoczywam na twém łonie,
Nic nie wiem o serca wrzawie;
Bo w twego serca odbiciu
Widzę niebo już w tém życiu.

Kasper.

Nasze piersi moje dziécię,
Nieporusza burza skrycie —
Jak ranek wiosny kwiecistéj,
Jak słowika głos, gdy spiéwa,
Jak zwierciadło wody czystéj,
Gdy po burzy wypoczywa,
Jak dziécięcia sen w powiciu,
Taką jesteś ty w tém życiu. —
Jak szkło wody, twoja dusza,
Wietrzyk żaden nią nie wzrusza;
Moje serce jest jak morze,
Chociaż po nim burza orze
Ze zwyczajną swą wściekłością,
Która wszystko niszczy, zgina,
Nic nie wskóra swoją złością,
Bo to morze w lód się ścina.

Dorota.

Nie mój ojcze, twoje serce
Jeszcze w lód się nie zmieniło,
Miłość twoja tli w iskierce,
Tak jak słońce jasno, miło,
A w tego słońca odbiciu,
W całém teraz mojém życiu,
Morza, góry, świat ten cały,
Zdaje mnie się tak wspaniały!

Kasper.

Sama jedna na téj ziemi,
Gdy mnie stracisz dziécię moje,
Zdołaszże siły własnemi
Stłumić serca niepokoje?
Wszak widziałaś jak okręty
Wgnane na stérczące skały,
Strzaskał w nocy wiatr zawzięty
W drobne sztuki i kawały;
Nie przeszyłaż twą pierś trwoga?
Nie westchnęłażeś do Boga,
Co tu na nas patrzy z góry?
„Ach strzeżcież mnie mocne mury
„Od téj morskiéj nawalnicy.“

Dorota.

Choć bezpieczniej tu w strażnicy,
Niźli na morza otchłani,
Jednak najwięcéj żeglarzy
Wraca szczęśnie do przystani;
Dlatego gdy mi się zdarzy
Widziéć żagiel co przepływa,
Jakaś tęskność mnie porywa.
Gdy z okrętu zagrzmią działa,
Żegnając port opuszczony;
Jabym na nim płynąć chciała,
W inne miejsca, w inne strony.

Kasper *(prowadzi ją do okna).*

Pójdź tu do mnie dziécię drogie,
Spojrzyj na tych wód przestworze,

Jak ten potwór, co zwiem morze,
Przewraca swe wnętrza srogie,
Jak tysiąc rąk wznosi z toni,
Jak wściekle za burzą goni,
By mu ofiary oddała,
Którym sen życia przerwała;
Jak je chwyta w topieliska,
Jak je w swoich wnętrzach grzebie,
Gdy czarna chmura na niebie
Do tego swe gromy ciska.
I ty córko chcesz powierzyć
Téj potędze swoje życie?
Kiedy na téj wieży szczycie
Możemy się śmiało mierzyć
Z burzą w najzaciętszéj złości,
Paląc lampy dobroczynne,
Aby ofiary niewinne
Nie potonęły w ciemności?
Obraz morza — w swem odbiciu,
Jest jak kolej losu w życiu;
Szczęsny, kto mieszka na skale
Nadziei, wiary, miłości;
Chociaż burza miota fale,
On się nie boi jéj złości.

Dorota.

Cóż to znaczy ojcze luby?

Kasper.

Niechcąc przyszłéj twojej zguby,
Nie raz, gdy w oblicze twoje
Zatopiłem myśli moje,
Rozbierałem twoją dolę,
Jakby ciebie, wiosny kwiecie,
Tu na tym płaczu padole
Od łez gorzkich nstrzedz przecie,
Nim zabłysną w twojem oku;
Niech pobożność swym pokojem
Chroni cię przed ciężkim znojem,
Co płynie w zycia potoku.
Dlatego po moim skonie
Szukaj schronienia w zakonie.

Dorota.

Zakon, o! nie ojcze miły,
Nie wśród kwiatów, gdzieś ztąd wdali,
Lecz na brzegu skał i fali
Wychowałeś mnie do siły;
Z okropnościami natury
Obeznałeś mnie już z góry;
Kiedy burza z morzem w parze,
Aż nie jedno serce drzało,
Szalały po wód obszarze—
Ja patrzyłam na nie śmiało,
Bawiłam się wśród powodzi
Z morzem jak z dzieckiem. — Za młodu
Wzwyczajałeś mnie do łodzi,
Jak w pośród tego zawodu
Chwytać wiosło w silne dłonie,
Na morskie się puszczać tonie
Ledwo widna twemu oku;
Nie raz mnie w mglistym pomroku,
Który poprzedzał zaranie,
Ptasząt miłe świegotanie
Do modlitwy powołało,
Wtenczas padłszy na kolana,
Tam — do przedwiecznego Pana
Modliłam się duszą całą.
A morze szeleszcząc dziko,
Niby organów muzyką
Do modlitwy wtórowało.
Gdy tymczasem słońca ksieni
W złotolite szaty strojna,
W ciepło, światło, w życie hojna,
Wszem krańcom świata przestrzeni
Przynosząc dobrodziejstw krocie,
Wzniosła się na wód pozłocie,
I promienie swego słońca
Słała z tém słowem za gońca:
„Zbudźcie się ziemskie istoty,
„Których ciemność ciśnie sroga,
„Kochajcie się, czcijcie cnoty,
„Błogosławieństwo od Boga
„Ja wam niosę w mym promieniu.“

Kasper.

O Doroto! w uniesieniu
I mnie się tak wprzódy śniło,
Lecz mnie życie przebudziło.

Dorota.

Mnie się nie śni o czczych marach,
Które ze snu życie płoszy.
Tylko w ogółu obszarach
Ta pierś wzdycha do rozkoszy.
Czyje serce w siłę wzrosło,

Chociaż przeszkód w życiu wiele —
Nie rzuci w śród burzy wiosło,
Nie zamknie się w ciemną celę;
Bo gdzie tylko okiem rzuci,
W którą stronę nogę zwróci,
Przedwiecznego ojca w niebie,
Widzi miłość wkoło siebie,

Miłość widzi, czuje razem
Iż to boskim jest rozkazem:
Aby serca na téj ziemi,
Jeźli chcą mieć życie rajem,
Rozumiały się z drugiemi,
I kochały się nawzajem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkice z podróży po Egipcie, Syryi i Grecyi,

przez Franciszka Teppę.

(Z korespondencyi Warszawskiéj.)

Takie-to już przeznaczenie artystów, czy malarzy czy poetów, że zawsze jakieś ciekawe oko musi zajrzéć do ich teki i zdradzić tajemnicę głęboko schowanego rysunku lub poematu. Takie wietrzenie wszelkich ciekawości stanowi główną gałęź zatrudnienia u ludzi nie mających nic do roboty, do których i ja szczęściem lub nieszczęściem należę. Wy wszyscy uczeni i nieuczeni, ale pewném powołaniem lub obowiązkami obarczeni w życiu, nie macie nawet pojęcia co to za rozkosz wpaść na trop jakiéj nowości, czy literackiéj, czy artystycznéj, czy nakoniec towarzyskiéj i być pierwszym jéj zwiastunem. Połowa prawie zasługi spływa na ogłosiciela przynajmniéj na chwilę, a i to nie mało.

Owoż i ja doznałem niemałéj radości, skorom się dowiedział o powrocie p. Teppy z podróży po Wschodzie. Nie często bowiem wydarza się sposobność, żeby widziéć i rozmawiać z kimściś co zbobrował morze Śródziemne, kołysał sie na dahabii nilowéj, smarzył w słońcu Nubii, całował święte prochy Jerozolimy, wypoczywał pod cedrami Libanu, z beduinami wymijał wiatry pustyni, podziwiał piękność Smirniotek, a wkońcu usiadłszy może na tym samym kamieniu gdzie Edyp wypoczywał, patrzał z przylądka Kolormów na zatokę Salaminy, i uczuł srogą boleść w duszy artystycznéj na widok pogruchotanych kolumn Partenonu, i na obdarte z płaskorzeźb propileje.... Miło to słyszéć podróżnika, kiedy w potocznéj rozmowie zawadzi to o Piramidy, to o Akropolis, to Karnak i File, to o Sinai i Tabor, mieszając do tego sceny z podróżnymi wszystkich narodów na statku Lloyda, przygody na łodzi nilowéj, obrazy nędzy fellahów, rozkosznych tańców i spiewów almei, lub pogadanki w kawiarniach czyli Kanach syryjskich, nudy karawanowe lub ruch bazarów Alexandryi i Kairu.... Wszystko to acz nowe dla nas, niewidziane i interesujące, nabiera dopiero prawdziwego interesu, kiedy opowiadający otworzy tekę i jakby dla *zillustrowania* swoich opowieści, zacznie wydobywać jedne po drugich szkice robione na miejscu, które chwytając naturę na uczynku, przenoszą cię od razu w te miejsca naznaczone wielkiemi śladami historyi albo napiętnowane tak odrębnym charakterem, że ich z niczém u nas porównać nie można!

Téj ja to właśnie przyjemności doznałem w zetknięciu się z panem Teppą, który przed parą miesiącami powrócił ze Wschodu. Młody ten i rzadkich zdolności artystycznych malarz, ma nieoceniony przymiot, że umie i prędko robić i chwytać widoki lub sceny ze strony najoryginalniejszéj i najbardziéj malowniczéj. Poszlij nietylko do Egiptu i Palestyny, ale nad Ganges jakiego nawet dobrego rysownika, coby nie miał w duszy poetycznego uczucia, coby nieumiał wybrać, natchnieniem ożywić, przywiezie ci stos martwych karykatur, które nic nie powiedzą więcéj jak to, cobyś znalazł w pierwszym lepszym opisie. Wcale inaczéj ma się ze szkicami pana Teppy; niektóre ledwo dotknięte kilkoma pociągami pędzla, ledwo oznaczone w głównych rysach, mówią niekiedy tyle co skończony obraz. Jest-to jakby dziennik podróżnego, który nie mając ani czasu, ani miejsca do pisania, w niewielu charakterystycznych wyrazach kreśli wrażenie jakie doznaje. Pan Teppa, aczkolwiek mający zamiłowanie w dokładném wykończeniu prac swoich, był niekiedy zmuszonym, — pomimo że piękność jakiego widoku lub sceny przywiązywała go do zaczętéj roboty, którą pragnął wykończyć — zwijać swój parasol, pakować pędzle i farby i pędzić daléj za biegiem łodzi lub karawany. Przeciwnie w tych punktach, gdzie się mógł dłużéj bez przeszkody zatrzymać, pracował z całym zapałem młodzieńca, pomimo wiatru pustyni sypiącego piaskiem w oczy, lub prostopadłych promieni słońca Nubii, palących żarem w atmosferze 35ciu stopni powyżéj zera.

Kto ma wyobrażenie, z ilą trudami połączona jest podróż na Nilu i w Syryi, zdziwić się musi mnogości studiów jakie przywiózł ze sobą; tém więcéj że niektóre akwarelle a nawet olejne widoki wykończone są tak dalece, żeby je w ramy oprawić można. O ile pamięć moja pobudzona ciekawością mogła zatrzymać, o tyle wymienię przedmioty w jego szkicach objęte.

Piękny jest widok olejny, wzięty w Alexandryi z kilku lichych lepianek, nad któremi wznosi się lasek drzew palmowych; te lepianki są to kawiarnie, niby nasze przedmiejskie szynkownie, z tą różnicą że mają pozór najzupełniejszych a bardzo malowniczych ruin, między któremi widać grupy siedzących i przechodzących się arabów.—Kobiety przy studni w Etfu, jest to akwarella nosząca już charakter pustyni; przedstawia ona grupę kobiet zaczerpujących wodę, i niosących ją w wielkich dzbanach na głowie. Znać że studnia jest miejscem, gdzie kumoszki lubią schadzać się i gawędzić to o tém to owém, jak to ich mężowie radzi czynią w kawiarniach. Na innéj widzimy jakby mur twierdzy czy zamku z bramą zamkniętą, pod którą tysiące niewiast egipskich w niebieskiém zwykłém ich ubraniu, zalega w najrozmaitszych grupach. Artysta nie mógł tylko wydać krzykliwych zawodzeń jakie wydawały te matki, żony, siostry za swymi synami, mężami i braćmi, których Abbas Pasza kazał pobrać do wojska. Scenę tę widział p. Teppa w Siut. Kto niewyobrażał sobie Nubijek i Nubijczykow czarnych jak węgiel, i nagich jak palce, ten nabędzie wyobrażenia, równie jak o Berberynach, téj najdzielniejszéj z ras górnego Egiptu. Nietylko grupy interesują w tym zbiorze, ale pojedyncze twarze to Egipcyanek z Kairu, z ślicznemi oczyma, a wyrazem dziwnéj naiwności, to Arabów wyschłych jak szczypy, z oczami pełnemi żywego ognia i perłowemi zębami, odbijającemi od ogorzałéj twarzy. Jeżeliś ciekawy widzieć owe piskliwe, skrzypiące Sakije wzdłuż nilowych brzegów, przypominające nasze studnie z żórawiem, znajdziesz je tam oddane z całą oryginalnością prawdy. A cóż powiedzieć o widokach? O tych kataraktach nilowych niepodobnych ani do wodospadu w Szafhuzie ani do Niagary, ale raczéj do olbrzymiego górskiego potoku rozbijającego się o krocie sterczących głazów; o téj pustyni koło Assuan zasłanéj samemi tylko kamieńmi, jakby granitowe góry kto potłukł i rozsypał, o tych znowu świątyniach i pałacach starożytnéj File i Elefantiny wydających się jak czarodziejskie ogrody. Wszystko to nowe dla oka, niekiedy przejmujące okropną dzikością, niekiedy pociągające urokiem, a zawsze pełne poezyi i wielkości.

Nie wyliczam jak tylko może część widoków i scen odnoszących się do Egiptu, albowiem długą byłaby litania, tém dłuższa, że jeszcze trzebaby powiedzieć o szkicach z Ziemi Swiętéj i Syryi i Grecyi. Prócz ogólnego widoku na Jeruzalem, nie dostrzegłem studiów z tego kraju w tece p. Teppy; może dla téj przyczyny, że tylu malarzy malowało już te strony. Syrya zato dostarczyła obfitych przedmiotów, szczególniéj prześlicznych głów Szeików Arabskich i Maronickich, chociaż ta zdobycz mogła była drogo kosztować malarza. Będąc w Beirucie, przychodzi do jakiejś kawiarni, i tam siadłszy sobie w kąciku kreśli przepyszną twarz jakiegoś starego brodatego muzułmanina. Brodacz czy przestrzeżony, czy że sam się postrzegł, wstaje z flegmą oryentalną i biorąc pistolet z zapasa mierzy w samą głowę artysty.... Szczęściem że się znalazł jakiś Europejczyk, podobno z pruskiego konsulatu, który wstrzymał Turka. Wszakże nie na tém koniec: ów Turek w parę dni umiera — ze starości. Hałas w Beirucie między zabobonną tłuszczą przypisującą śmierć Turka akwarelli p. Teppy! Przez kilka dni nie pokazywał się artysta na ulicy inaczéj, tylko z dodanym kawasem z konsulatu pruskiego, który go strzegł od napaści. Wszakże niedość mu było na tém, pragnąc zrobić studium z jakiegoś wielbłada, zaczał go rysować — i wielbłąd na drugi dzień zdycha! Tu już niepodobna było dłużéj wytrzymać przed zaciętością fanatyków, przekonanych, że Europejczyk na to ich maluje, aby się przenosili na łono proroka. Tu się pokazuje najlepiéj różnica wyobrażeń o sztuce u nas a na Wschodzie. U nas zabijały i zabijają nudne wiersze i ramoty — a tam ludzie umierają gdy ich artysta unieśmiertelni w portrecie, jakiegoby nie jeden u nas pozazdrościł. Wszakże nie wszędzie natrafił p. Teppa na takie dzikie uprzedzenia. Poznał się on z pewnym księciem Maronitów, mającym swój zamek o kilka mil od Beirutu odległy, który tak dalece okazał się wyższym nad przesądy swego kraju, że artyście wstęp do swego domu otworzył, i pozwolił mu oglądać kilkanaście córek swoich — ma się rozumieć bez zasłony, gdyż inaczéj nie byłby w stanie przenieść na papier tych ślicznych gazellowatych oczek. Rzeczywiście artysta zrobił dużą akwarellę, na któréj oddał całą rodzinę księcia, a i samych dostojnych rodziców, wszystkich siedzących sposobem wschodnim i palących nargillę.

Bojąc się popełnić więcéj niedyskrecyi a i czytelników niechcąc nudzić wyliczaniem przedmiotów, mało ich obchodzących, winienem zakończyć tą uwagą, iż wymienione powyżéj widoki i sceny, są tylko studyami przygotowawczemi do wielkich kompozycyj, jakie p. Teppa wykonać zamierza, aby pamięć pobytu swego na Wschodzie na płótnie zachować.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*